

K O T K A
I G E N E R A Ł
NINO HARATISCHWILI

Najnowsza powieść autorki

Ósmego życia



K O T K A
I G E N E R A Ł

NINO HARATISCHWILI

K O T K A
I G E N E R A Ł

TŁUMACZENIE URSZULA POPRAWSKA



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *Die Katze und der General*

Copyright © 2018 by Frankfurter Verlagsanstalt GmbH, Frankfurt am Main

Copyright © for the translation by Urszula Poprawska

Tłumaczenie niniejszego dzieła zostało wsparte w formie grantu
udzielonego przez Goethe-Institut

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Malocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Audrey Shtecinjo / Stocksy.com

ISBN 978-83-7515-559-4



OTWARTÉ

www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Śpij, syneczku mój jedyny,
Luli, synku mój.
Księżyc roni blask swój siny
Na policzek twój.
Zacznę ci ja bajać baśnie,
Piosnek tryśnie zdrój,
Ty przymknąwszy oczki – zaśnij,
Zaśnij, synku mój.

Płynie Terek w bystrym biegu,
Z szumem mętnych fal,
Wróg zaczął się na brzegu,
Ostrzy swoją stal.
Lecz twój ojciec zaznał wojny,
Wie on, co to bój.
Śpij, maluśki, bądź spokojny,
Śpij, syneczku mój.

I ty poznasz byt wojaka,
I przywykniesz doń;
Śmiało wskoczysz na rumaka,
W rękę chwycisz broń.
Ja siodełko twe przystroję
W ściegów barwny zwój...
Śpij, dzieciątko moje, moje,
Śpij, syneczku mój.

Michał Lermontow, *Kołysanka kozacka*,
przełożył Leonard Podhorski-Okolów
(w: tenże, *Wybór poezji*, Wrocław 1972, s. 87–88)

PROLOG: NURA

1994/NURA

Spojrzała na niebo. Przez szczelinę w grubej kołdrze chmur prześwitywał boleśnie jaskrawy krąg. Wydało jej się, że gdyby dostatecznie długo wpatrywała się w jego oślepiającą biel, zobaczyłaby rozżarzone kości. W końcu musiała odwrócić wzrok, a wtedy chmury w okamgnieniu zasłoniły słońce. Wisiały tak nisko, że zepchnęły mgłę do wąwozu.

Przechodząc przez rynek, widziała pogardę w oczach starych, przypominających jaszczurki kobiet, szedł za nią ich zły szept, paliły ją lepkie, jadowite spojrzenia. Na pewno znów gadają, że pokazuje się bez chusty na głowie.

Mgła wylewała się z wąwozu, ciężko i cicho wpełzała do wsi, wsysając wszystkich i wszystko w swą przepastną paszczę. Trudno było rozpoznać człowieka stojącego o krok.

Ta mgła i wilgotne zimno sprawiały, że ludzie stawali się bardziej nerwowi, przewrażliwieni, a atmosfera we wsi, i bez tego napięta, robiła się trudna do zniesienia. Kobiety krzątające się koło gospodarstwa starały się chodzić na palcach, a mężczyźni, zamyśleni i tajemniczy, zbierali się małymi grupkami w pokojach na tyłach domów.

Zima miała się wkrótce wdrzeć w ten górski wąwóz ze zwykłą dla tej okolicy bezwzględnością. Mieszkańcy przygotowywali się do niej, szykując się na mroźne noce pełne gwiazd i lodowate poranne wichry. Ale było jeszcze coś innego: wisiało w powietrzu, a raczej wkradało się między ludzi, a ona nie potrafiła tego nazwać, nie знаła niczego podobnego, czuła tylko, że atmosfera nie wróży nic dobrego. Lecz nie chciała tak jak inni poddać się troskom i lękom. Chciała jak co roku z radością czekać na pierwszy śnieg, chciała z małą Asmą urządzać bitwy na śnieżne kule i jeździć na sankach, mimo wyrzekań matki, że takie zachowanie nie przystoi młodej kobiecie, chciała poczuć skrzyp śniegu pod nogami, strząsać białą śnieżną kołderkę z zielonych jak mech cienkich gałęzi jodeł i śmiać się przy tym nie wiadomo z czego, po prostu tak jak zawsze.

W końcu to nic nowego, że starsi szepczą za jej plecami, piorunując ją wzrokiem. Zna to, przywykła. Teraz też, mimo zmrożonej atmosfery, mimo trudnego do nazwania zagrożenia wiszącego w powietrzu, nie przestraszy się, nie zwiesi głowy. Po mąkę zamówioną przez matkę pójdzie do młyna tą samą drogą, co zwykle. Wystarczy, że na chwilę przymknie oczy i przywoła głos Natalii Iwanowny, strofujący ją: „Cóż to za postawa?! Czy tak chodzi dumna mieszkanka Kaukazu? Wyprostuj plecy! Zgarbiona kobieta nigdy nie osiągnie tego, czego pragnie! O tak, jak balerina z Teatru Wielkiego, tak jest! A więc jednak się da! Doskonale, *Madame!* A teraz musimy popracować nad pierwszą pozycją!”. Nura zawsze lubiła to słowo w jej ustach, bo Natalia Iwanowna wymawiała każdą sylabę z osobna i mimo że słowo odnosiło się tylko do postawy ciała, zyskiwało nagle głębszy sens. Nietrudno było Nurze przypomnieć sobie głos Natalii Iwanowny i jej piękny rosyjski akcent, w końcu to ona nauczyła ją mantry, dzięki której każda przeciwność losu, każda trudna sytuacja

była łatwiejsza do zniesienia. Głos Natalii Iwanowny nadal brzmiał w uszach Nury, jakby rozstały się wczoraj, i coś jej mówiło, że tak już pozostanie, czuła, że słowa mentorki wzmacniają jej dumę, teraz więc szła przez rynek z wysoko podniesioną głową, prosta jak świeca, jakby się szykowała do *rond de jambe*.

„Musisz się skupić! Fantazja nie znosi dowolności, a tym bardziej niestaranności. Wyobrażeniom potrzebna jest precyzja!” Mgła otulała ją teraz niby futrzana etola i przez chwilę zdawało jej się, że to czary Natalii Iwanowny, które osłaniają ją przed zawistnymi spojrzeniami i szeptami raniącymi uszy.

Wąwóz drzemał, pozwalając mgłę wziąć się w objęcia, i zdawało się, że góry wstrzymały oddech. Nura od dawna wyobrażała sobie, że pewnego dnia opuści tę wieś, może na zawsze, i choć to przekonanie, ta nieuniknioność, ta pewność były wpisane w jej ciało i myśli, tak jakby nic innego nie wchodziło w rachubę, to kiedy o tym myślała, coś się w niej kulilo. I to wcale nie z powodu ludzi, lecz z powodu gór, bliskości nieba. Tu zawsze miała wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę i już głaszcze się chmury, dotyka się nieba, a jeśli nie dotyka, to przynajmniej nim oddycha.

Gdy była w mieście, pierwszy i jak dotąd jedyny raz – za to w prawdziwym mieście, a nie w jednym z tych leżących w pobliżu prowincjonalnych miasteczek – przeżyła szok, kiedy się przekonała, że nie widać tam gwiazd, a niebo wygląda jak jego atrapa namalowana przez kiepskiego malarza. Miała wtedy dziesięć lat. Chodziła z ojcem po szerokich ulicach, trzymając go za rękę, patrzyła na mijające ich w pędzie auta i choć – jako nieprzywykła – czuła się dziwnie i obco, było to cudowne, emocjonujące uczucie, móc zaznać czegoś nieznanego, co potrafiła już nazwać: wolności. Jej smak był pewnie dlatego tak intensywny, że pojechała tam tylko z ojcem, bez matki, jej zasad i zakazów, i ojciec wydawał jej się wtedy jakiś

inny, swobodny i dobrze usposobiony, po dziecięcemu rozba-
wiony, lekki, jakby z jego ramion spadł stutonowy ciężar. To
było dawno temu... Również to wspomnienie radosnego i za-
adowolonego ojca wydało jej się teraz niemal nieprawdziwe.

Awlan, właściciel młyna, wycierał ręce o fartuch i uśmie-
chał się szeroko. Potem spytał ją o zdrowie matki i sióstr. Inte-
resowała go właściwie tylko Malika, najstarsza z nich trzech.
Ale była to historia bez perspektyw. Malika dawno poślubiła
innego mężczyznę i choć Awlan wiedział, że ulokował swe
uczucia w beznadziejny sposób, nie potrafił zrezygnować
i pogodzić się z losem. Nura zawsze mu współczuła. Jego
tęsknota od początku była nierozsądna – Malika nigdy by za
niego nie wyszła, a przede wszystkim rodzina Gielajewów
nigdy nie związałyby się z jego rodziną. Awlan uchodził za
zbyt miękkiego i kobiecego jak na góry, był kimś w rodzaju
wybrakowanego, niezbyt przydatnego krewnego z bocznej
linii w warze*, w jego żyłach nie płynęła krew wojownika,
przez co nie był dobrym Nohczo**.

Malika, która zawsze
lubiła wiedzieć, czego się od niej oczekuje, odczuwała nie-
mal erotyczną ekstazę, kiedy musiała się podporządkować.
Więc już choćby z tego powodu ich związek byłby skazany
na niepowodzenie.

– To doskonała mąka, drobno zmielona, tak jak życzyła so-
bie twoja matka, wspaniała na czepałgasze***. Twoja matka
robi najlepsze na świecie czepałgasze. Jadłem je na urodzi-
nach twego dziadka i ciągle czuję ten smak, uch!

* Społeczeństwo czeczeńskie dzieli się na wary, które są odpowiednikiem
rodu, klanu, oraz tejpy – rodzaj wspólnoty terytorialnej składającej się z jednej
bądź kilku wsi. Obecnie, po włączeniu Czeczenii do Federacji Rosyjskiej, teipy
nie odgrywają już tak ważnej roli jak kiedyś (wszystkie przypisy pochodzą od
tłumaczki).

** Nohczo – Czeczen (Czeczeni nazywają siebie Nohczi).

*** Czepałgasze – placki na słono z serem, specjalność kaukaska. Placki
układa się jeden na drugim, kroi, a potem polewa masłem.

Nura zastanawiała się przez chwilę, czy Awlan dlatego chwali jej matkę, że chce zyskać jej sympatię, czy też naprawdę ją podziwia. Matka świetnie gotowała, ale nie była we wsi wyjątkiem. Potem się uśmiechnęła i spojrzała na zewnątrz. Mgła gęstniała, tworząc szare mury na ulicach aułu*.

– Okropna ta mgła – westchnęła.

Awlan wstrząsnął się z ostentacją i współczująco się uśmiechnął.

Nura chętnie by go objęła, lecz czuła, że przypatrują im się dwaj mężczyźni rozmawiający przed wejściem do młyna, a ponieważ nie chciała ich dodatkowo prowokować, oparła się impulsowi i od razu zezłościło ją własne opanowanie.

– A co słyhać u naszej drogiej Maliki? Jak jej się wiedzie? Odwiedza was czasami?

Awlan nie umiał trzymać uczuć na wodzy tak jak Nura.

– Przyjedzie najpóźniej na święto, na Kurban Bajram, jestem pewna. Poza tym... mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze.

Naprawdę tak myślała. Malika wyszła za mąż przed rokiem i wyprowadziła się do Urus-Martan. Nikt nie wiedział, czy była szczęśliwa, ale matka, wydając ją za mąż, na pewno ją uszczęśliwiła. Rodzina męża Maliki stanowiła mocny klan – wszyscy wprawdzie uchodzili za „asymilowanych”, lecz nie podlizywali się władzy. Jej teść był właścicielem fabryki mydła w Urus-Martan i małżeństwo to było dla Maliki i jej rodziny spełnieniem marzeń, a zarazem awansem społecznym: po skandalu, jaki wybuchł po odejściu ojca, zamążpójście było prawdziwym uśmiechem losu, gwarancją spokoju.

Matka zawsze stawiała na Malikę. Malika była, po pierwsze, najposłuszniejsza, po drugie, była prawdziwą dziewczyną z prawdziwymi dziewczęcymi marzeniami, które krążyły

* Auł – osada górali kaukaskich.

wokół mocnego i wpływowego mężczyzny, a po trzecie, była najładniejsza. Asma była jeszcze mała i nie dało się przewidywać, co z niej wyrośnie. A ona, Nura, druga z kolei... o tym lepiej na razie nie mówić. Malika była kartą atutową. Matka dobrze nią zagrała, co na pewno – krótki, jak się okazało – czas pozwoliło jej pogodzić się z sobą, ze światem, a przede wszystkim z przeszłością.

Małżeństwo skojarzyła swatka z sąsiedniej wsi. Matka ciągle powtarzała, co to za szczęście, że Malika ma ładną buzię i że Urus-Martan leży na tyle daleko, by ludzie stamtąd nie interesowali się zbyt upokarzającym zniknięciem jej męża. Malika powiedziała „tak”, zanim w ogóle zobaczyła narzeczonego, bo marzyła o życiu w mieście i o mężu z niemieckim autem. Wyprawiono więc wesele i Malika wyprowadziła się do męża. Od tego czasu Nura widziała siostrę tylko raz, gdy ta w środku lata odwiedziła z teściami ich aul, w drodze do Nichalojewskich Wodospadów, które podobno wzmagają płodność. Malika, jak przystało zamężnej kobiecie, nosiła chustę na głowie i suknię do kostek.

Teraz jednak Nura zastanawiała się, czy jej siostra naprawdę jest szczęśliwa i jak w ogóle wygląda szczęście Maliki. Czy da się je rozpoznać? Czy je po niej widać? Czy może jest bez barwy i zapachu, ciche, dyskretne i bezkształtne niczym mgła w ich kotlinie? Malika też stała się bardzo cicha, cichsza niż zwykle, i sprawiała wrażenie trochę przestraszonej, niepewnej, jakby zapomniała, jak to jest być tutaj, w pobliżu matki i sióstr, na wsi, jakby zapomniała być sobą, a nawet jakby włożyła maskę i bała się, że ktoś pod nią zajrzy i dostrzeże coś, czego nie powinien.

– Jej rodzina trzyma z Rosjanami, prawda?

Nurę zdumiało to pytanie. Awlan nie sprawiał wrażenia mężczyzny interesującego się polityką. Była też pewna, że nigdy nie opuściłby tego miejsca, tej wsi, chyba żeby go z niej wypędzono.

- Czemu o to pytasz?
- Nie chodźcie do Gasujewów na telewizję?
- Chodzimy, czasami.
- Był pucz. Ruscy chcą postawić swoich wasali na czele naszego rządu. Zestrzeliliśmy ich śmigłowce bojowe.
- My?
- Tak, nasi.

Zdziwiło ją jego słownictwo. Musiał spędzać dużo czasu w byłym klubie Komsomołu, gdzie w ostatnim czasie zbierało się coraz więcej młodych mężczyzn nieustannie omawiających jakieś „ważne sprawy”, jak nazywała to matka, to znaczy dyskutujących o polityce. Chodził tam, nauczył się obcych słów i teraz się popisuje.

- Wielu lizusów aresztowano.

W głosie Awlana zabrzmiała patriotyczna duma, oczy zaśmiałły i to z miejsca ostudziło jej sympatię.

- Muszę już wracać, matka i Asma czekają...

Po raz pierwszy Nura poczuła się nieswojo w jego obecności. On zaś jakby nagle się przebudził, potrząsnął głową, zaśmiał się w swój ujmujący sposób i podał jej worek z mąką. Kiwnęła mu głową na pożegnanie i wyszła z młyna. Mgła otuliła ją w mgnieniu oka niczym ciepły płaszcz.

Po kilku krokach o mało nie wpadła na grubą Gülnaz i jej nieforemnego syna. Gülnaz była prawdziwą wiejską matroną, a ponieważ jej mąż miał kilka sztuk bydła i tyle samo żon – co podobało jej się o wiele mniej, choć tego po sobie nie pokazywała – Gülnaz uważała, że ma prawo rozstrzygać różne sprawy wiejskiej społeczności i mieszać się do wszystkiego. „Gdyby tyło się od plotek, Gülnaz już dawno musiałaby ważyć z tonę” – powiedziała kiedyś Nura do Asmy i rozśmieszyło to ją samą.

Syn Gülnaz, który właściwie nie był już dzieckiem, ale też nie był jeszcze dorosły, mocno trzymał Gülnaz za rękę i postępował za nią ociężale.

– Ach, Nura, to ty! Ależ mnie przestraszyłaś! – wykrzyknęła Gülnaz.

Gęsta mgła nie przysłoniła widoku wielu złotych zębów w jej ustach.

– Tak, to ja, ciociu Gülnaz, wybacz! Mgła jest dziś wyjątkowo gęsta...

– Mój brat mówi, że to sprawa Ruskich. No nie patrz tak na mnie. Podobno stosują jakieś gazy, żeby się na nas zemścić i podstępnie wytruć.

– Trudno mi w to uwierzyć, ciociu!

Nura zrobiła krok do przodu, dając do zrozumienia, że chce odejść, ale Gülnaz udaremniła jej ten zamiar. Chciała dowiedzieć się jeszcze kilku rzeczy, a poza tym upewnić się, że niczego nie przegapiła.

– Co teraz poczniesz twoja biedna matka!

– Co masz na myśli, ciociu?

Nura naprawdę nie wiedziała, do czego pije ta fałszywa żmija.

– No cóż... Sama w domu z dwiema córkami w tych niepewnych czasach...

Nura poczuła nagły skurcz. Najchętniej by coś krzyknęła, plunęła Gülnaz w twarz i odeszła.

„Tyle przewrotnej radości z cudzego nieszczęścia, tyle wrednej potrzeby, żeby innym źle się działo! Jak można żyć, nosząc w sobie tyle frustracji” – myślała, zmuszając się jednocześnie do uśmiechu.

– Wszystko w porządku, ciociu. Nie martw się o nas.

– Nie przyczyniaj matce zmartwień, słyszysz! – odparła Gülnaz karcąco i nachyliła się ku niej tak blisko, że Nura poczuła niemiły zapach z jej ust, zapach gotowanych na twardo jaj i czegoś tłustego. – Twoja matka już swoje przeszła.

Nura miała ochotę odepchnąć ją od siebie. W tym momencie boleśnie odczuła nieobecność Natalii Iwanowny. Gdyby mogła, pobiegłaby do niej i wyładowała swoją złość,

przeklinała, dopóki by się nie uspokoiła i nie poczuła, że wszystko wraca na właściwe tory. Lecz teraz musi zdusić w sobie gorycz i złość i nawet się uśmiechnąć.

– Do widzenia, ciociu – powiedziała i ruszyła przed siebie, drogą we mgle.

Chłopak, który wcześniej stał apatycznie obok matki, pokazał jej język i splunawszy, krzyknął coś za nią. Najpierw nie zrozumiała, ale po chwili dotarło do niej, że zawołał: „Dziwka!”. Gülnaz musiała szybko zakryć mu usta, bo urwał i znów zapadła wszechogarniająca cisza.

„Nie mogę stracić panowania nad sobą – myślała Nura gorączkowo. – Nie mogę dostarczyć tym wsiokom nowych powodów, żeby wieszali psy na mnie i całej naszej rodzinie”.

„Oddychaj, oddychaj, głęboko i równomiernie” – usłyszała szept Natalii Iwanowny. Jak rozpaczliwie jej potrzebowała! „Oddychaj, a potem włącz perspektywę zewnętrzną”.

Nura robiła tak, kiedy świat wokół niej stawał się zbyt twardy, zbyt nieprzyjazny: wyłączała rzeczywistość, zmieniała ją, tak jak się zmienia kolorowe filtry. Nie było to wcale trudne – wystarczyło zamknąć oczy, skupić się i każdym zmysłem przenieść się w inne realia. Wszystko wtedy stawało się inne, ona sama stawała się inną osobą, kimś o wymiennej osobowości, zależnej tylko od siły jej wyobraźni. Z każdym dniem, miesiącem, rokiem zyskiwała w tym większą biegłość. Z początku odważała się najwyżej wyobrażać sobie, że jest lekarką w jakimś dużym mieście pełnym pięknych parków i atrakcji. W mieście, gdzie jak na odpuscie jest barwnie, krzykliwie, mnóstwo muzyki i różnych przyjemności, a ona w środku tego wszystkiego spieszenie wraca ze szpitala, jest chirurgiem, jej praca jest sensowna i ważna, bo idzie o życie i śmierć, a ona oczywiście pomaga zwyciężać życiu, potem zaś przechadza się wśród budek z watą cukrową i wspaniałych karuzeli, śmieje się i objada lodami, jest w przepięknej sukni, ma rozpuszczone włosy.

Gdy już odkryła, że może trenować swoją fantazję, ćwiczyć ją tak jak się ćwiczy konia, zaczęła wymyślać coraz odważniejsze, coraz wyrazistsze, coraz bardziej ryzykowne historie. Jeśli na przykład nie chciało jej się za bardzo wysilać wyobraźni, była po prostu księżniczką, bo nie sprawiało jej to żadnej trudności. Ale nie pierwszą lepszą księżniczką, tylko japońską. Kiedyś w zaniedbanej wiejskiej bibliotece pełnej socjalistycznych broszur propagandowych odkryła stare postrzępione czasopismo z modą kobiecą, wydrukowane alfabetem lacińskim, w obcym, przywodzącym miłe skojarzenia języku. Zamieszczone w nim zdjęcia przedstawiały piękne, dobrze ubrane kobiety. Wśród nich była młoda dama, japońska księżniczka, jak udało się jej odczytać, o egzotycznym imieniu budzącym tęsknotę za dalekimi krajami – Michiko. Miała na sobie szykowny kostium i machała tłumowi zgromadzonemu przed książęcym pałacem, całym pokrytym złotem.

Ale w ostatnim czasie najczęściej była Marią. Piękną Marią z meksykańskiej telenoweli *Po prostu Maria*, którą oglądała co wieczór razem z kobietami ze wsi u Gasujewów. Na telewizję przychodziło tam tylu ludzi, że odbiornik wystawiono do holu. Wiły się w nim przedłużacze połączone z sobą taśmą klejącą. Maria, bohaterka telenoweli, prosta chłopska córka, mimo przeszkód i trudności została słynną projektantką mody i pokonała wszystkie społeczne bariery, choć nie dane jej było zostać żoną bogatego Juana Carlosa del Villar Montenegro. Cudownie było być Marią. I łatwo było wypóżyć sobie w wyobraźni rzeczywistość, w której Maria się obracała, ponieważ film miał rosyjski dubbing, a barwne meksykańskie realia pokazywał żywo i z detalami.

Nura widziała wnętrza, w których przebywała Maria, suknie, które nosiła, przedmioty, których dotykała, a reszta – reszta dopełniała się w jej głowie. Na przykład smak ust Juana Carlosa del Villar Montenegro. Nawet jeśli miłość Marii była nieszczerśliwa, jeśli nie było jej dane wyjść za tego, którego kochała

(tego Nura nie mogła jeszcze wiedzieć na pewno, jeszcze nie traciła nadziei, bo miała przed sobą sto dwadzieścia dwa odcinki), to i tak była niezwykle piękna, tajemnicza, intrygująca.

Dowiedziała się, że aktorka grająca Marię nazywa się Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo i nauczyła się jej nazwiska na pamięć jak jednego z wielu patriotycznych wierszy, które wbijano jej w szkole do głowy. Jak magicznie i kusząco to brzmiało: Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo... Rozpływało się na języku jak wata cukrowa i pozostawiało smak, który budził jeszcze większą tęsknotę. Świat Marii Victorii Eugenie Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo był taki, jak sobie wyobrażała, że być powinien, bo jeśli już ma się szczęście żyć, życie i otoczenie powinny sprzyjać, to nie jest chyba za wielkie wymaganie? A może jednak? Czy błędem jest pragnąć czegoś więcej? Więcej niż to, co według jej matki przystoi porządnej kobiecie? Więcej niż to, o czym myślą stare kobiety przesiadujące na rynku i wlepiające w nią żółte jaszczurcze oczy, patrzące z pogardą, bo uznały, że to bezcelne, iż jest młoda i nieświadomie emanuje tajemniczą obietnicą. Czy powinna przeproszać za to, że jest pełna gracji, jak sarna na leśnej polanie? Czy ma przeproszać za to, że ciągle o czymś marzy? Że wieś jej nie wystarcza? Za tymi górami, za tym przepastnym wąwozem, za tą dziką rzeką był świat, kuszący, różnorodny, kolorowy. O takim świecie marzyła. Musi się w nim znaleźć. Musi jej się udać. Drętwiała z przerażenia na myśl, że pewnego dnia jej wyobraźnia uschnie i nie będzie mogła się przenieść w inną rzeczywistość, bo obecna, realna, przeniknie wszystkie jej warstwy niczym żrący kwas. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby jej się przydarzyć, była utrata tej magicznej umiejętności. Wyobraźnia trzymała ją przy życiu i pozwalała cierpliwie znosić wszystko, co było przeciwieństwem szczęścia, nie będąc nieszczęściem – nie miała na to jeszcze określenia.

„Jakie to smutne, Nuro, że większość ludzi pragnie tylko przeciętności! Przeciętności w życiu, przeciętności we wszystkim. A ja właśnie tego boję się najbardziej”. Zobaczyła Natalię Iwanownę stojącą przy oknie, odwróconą do niej plecami, z papierosem w lewej ręce. Natalia była leworęczna i zawsze mówiła, że lewa ręka jest bliżej serca, a ona może robić tylko to, co bezpośrednio płynie z jej serca. Była zima. Prawie zawsze, kiedy myślała o Natalii Iwanownie, widziała ją w zimie, tak jakby ich wspólny czas był niekończącą się śnieżną zimą – w blaszanym piecyku płonął ogień, trzask polan miał w sobie coś usypiającego, zapraszał do marzeń. Świat za oknem wyglądał na wrogi i bezlitosny, ale w małym pokoiku było ciepło i przytulnie.

Nura nie widziała jej twarzy, kiedy Natalia to powiedziała, ale przebiegł ją nagły dreszcz. Nie wiedziała, czy te słowa były znajome, czy może wydały jej się straszne albo nappełniły ją lękiem, lecz poczuła, że wywarły na niej wrażenie.

„Ciągle walczyliśmy z przeciętnością, mój mąż i ja, oboje nie robiliśmy nic innego. A teraz po tylu latach zadaję sobie pytanie, czy nie był to błąd, czy nie ponieśliśmy porażki. Gdybyś mnie zapytała, to powiedziałabym, że przekleństwem ludzkości jest przeciętność. To nie wąż sprowadził grzech do raju, to przeciętność...” Natalia Iwanowna zaciągnęła się papierosem (w świecie, w którym żyła Nura, palenie papierosów przez kobietę było czymś bulwersującym i zakazanym), a Nura miała ochotę podejść do niej, przytulić się i powiedzieć, że Natalia jest najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

„Ale niektórym ludziom, bardzo niewielu ludziom, udaje się... Potrafią przemóc to przekleństwo...” Znów raptownie urwała, lecz to przecież nie mógł być koniec i rzeczywiście, zdusiwszy papierosa na podstawce służącej za popielniczkę, dodała: „Może... Tak! Może mogłabyś być jedną z tych, którym to się uda, Nuro”.

Dobitniejszego „tak” nie usłyszała w całym swoim życiu. Ale o to „tak” musi walczyć, powinna walczyć jak lwica, tego też Natalia Iwanowna ją uczyła. Jeśli stąd nie odejdzie, jeśli nie ucieknie od tych gór, tej rzeki, tej natury, tak kłamliwie pięknej, skończy pewnego dnia na rynku jak te stare kobiety w wełnianych chustach na głowie, siedzące tam z żółtymi rękami splecionymi na brzuchu, ze sklejonymi oczami i słowami pełnymi żółci, od których usta stają się zatrute. Albo stanie się jeszcze coś gorszego – upodobni się do swej matki, która ciągle użala się nad sobą, która każdym włóknom swego ciała boi się o bezpieczeństwo aulu, która rygorystycznie pilnuje prawości każdego czynu, każdej decyzji. Od kiedy odszedł ojciec, ona, bezradna istota, błąka się po galaktykach, lękliwa i onieśmielona, niepewna do szpiku kości i zatracająca się w wypełnianiu licznych obowiązków.

Nie, nigdy nie uzna za sens życia związku z mężczyzną, nawet takim jak Juan Carlos del Villar Montenegro. Sama będzie Słońcem swego systemu planetarnego. Niczego nie będzie ukrywać, będzie nosić najpiękniejsze, najbardziej kolorowe suknie i pokazywać nie tylko kostki nóg, lecz także rowek, który od dwóch lat zaznacza się między jej krągłymi, jędrnymi piersiami. A jak pięknie urządzi mieszkanie, do którego się kiedyś wprowadzi! Będą obrusy w kwiaty i porcelanowe wazy, ręcznie tkane dywany i miękkie sofy. Tak jak na hacjendach w telenoweli. Może jednak – i to marzenie było najbardziej ekscytujące, najodważniejsze, najbardziej zwariowane i dlatego może najgłębiej ukryte ze wszystkich jej marzeń – zostanie sławną aktorką, taką, w której wszyscy się kochają, która dostaje nagrody i chodzi w najelegantszych sukniach i która z wilgotnymi oczami posyła ze sceny pocałunki. Taką jak Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo. Ale tego nie miała odwagi wyobrazić sobie do końca, ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Myśl, że nie tylko cała rodzina, ale też Asma mogłaby nią pogardzać i odwrócić się od niej, była zbyt bolesna. Ale może by się udało i aul nie wciągnąłby Asmy w swój wir, nie zainfekował swymi żelaznymi zasadami, może udałoby jej się stać dla siostry tym, kim dla niej była kiedyś Natalia Iwanowna: kotwicą. I może pojechałaby do Groznego, potem do Moskwy, a potem... No tak, właściwie dokąd? Może do Meksyku, dlaczego nie, w końcu to w Meksyku kręcą tak bajeczne seriale jak *Po prostu Maria*, a ona zagra w jednym z nich i kiedy w końcu tam dotrze, i zamieszka na kolorowej hacjendzie z papugami i wielkimi kaktusami w ogrodzie, ściągnie do siebie Asmę i będzie z nią ćwiczyć wolność, codziennie, z żelazną dyscypliną, tak jak kiedyś robiła to z nią Natalia Iwanowna, i Asma pojmie, że jej dotychczasowy świat był tylko jednym z nieskończenie wielu wariantów wielkiego świata, w żadnym razie absolutnie i jedynie właściwym, i wtedy może zmiękczy też serce matki, bo mimo wszystko byłyby we dwie i matka przyjechałaby je odwiedzić, i zdiwiliłaby się, w jakim technikolorze rozgrywa się meksykańskie życie jej córek. Matka, uparta z natury, nigdy wprowadzie nie wyjechałaby na zawsze z tego kraju, z tego aulu, ale może kilka razy w roku przemierzyłaby ocean i wybrała się z córkami na wycieczki do najpiękniejszych miejsc w Meksyku.

Natalia Iwanowna, Rosjanka, która poślubiła Czeczena, przyjechała do ich aulu mniej więcej przed czterema laty, a później przeniosła się z mężem do Groznego. Oboje byli nauczycielami, którzy z jakiegoś niepojętego dla Nury powodu zdecydowali się wędrować po najodleglejszych wsiach północnego Kaukazu i uczyć dzieci. Uczyli nie w wiejskich szkołach, lecz w klasach zaimprovizowanych w pokojach domów, w których się zatrzymywali. Żyli z datków i darów od wdzięcznych rodziców zachwyconych dziećmi, a przyświecała im idea pobudzania młodego pokolenia do myślenia wychodzącego poza obowiązujące ramy. Wozili z sobą kufer książek

i coś równie cudownego: telewizor z wideo i mnóstwem ręcznie podpisanych kaset. Wyczarowywany przez nie świat przyciągał gromady dzieci. Czego tam nie było: pirackie kopie starych filmów z Chaplinem, filmy Viscontiego i barwne hollywoodzkie kino akcji, nawet filmy z Bollywood. Przed każdym seansem dzieci wysłuchiwały prelekcji o historii powstania filmu, o grających w nim aktorach, o epoce, w której toczy się akcja i o związanych z nią wydarzeniach na świecie. Po projekcji była dyskusja. Nie wystarczyło powiedzieć, że film się podobał albo nie – trzeba było to uzasadnić i przedyskutować. Nie obowiązywały żadne kryteria estetyczne, można było myśleć i mówić wszystko. Dla wielu dzieci było to zbyt trudne, bo nigdy wcześniej nie miały okazji wypowiadać swobodnie swych opinii. Ich życie regulowały dotychczas normy adatu*, a na co dzień o tym, co mają robić lub nie, decydowali rodzice, dziadkowie, starszyzna aulu, partia albo imamowie. A tu pojawiło się nagle dwoje czarodziei, którzy porwali je w świat, gdzie, jak się wydawało, wszystko było możliwe. Wiele dzieci nie radziło sobie z tą wolnością i zrezygnowało po kilku spotkaniach albo rodzice wietrzyli coś podejrzanego i zabraniali im chodzić do domu pary przyjezdnych. Inni jednak byli zadowoleni, widząc radosne dziecięce twarze, i nie dociekali, jak wyglądają te lekcje. Tak czy inaczej wiadomo było, że para oryginałów wkrótce pociągnie dalej, a dzieci wrócą do swej ubogiej, surowej codzienności, bo takie było prawo gór, prawo przodków, odwieczne prawo Wajnachów**.

W wypadku Nury było jednak inaczej. Ziarno trafiło na glebę nadzwyczaj urodzajną. Niestety, jakie się wydarzyło, dla niej okazało się czystym szczęściem. Mąż Natalii Iwanowny zmarł nagle na atak serca, po kilku zaledwie tygodniach pobytu w wąwozie Argun, zanim Nura zdążyła

* Adat (arab. zwyczaj) – prawo zwyczajowe funkcjonujące w niektórych krajach muzułmańskich obok opartego na Koranie prawa religijnego (szariatu).

** Wajnachowie – narody północnego Kaukazu, takie jak Czecczeni i Ingusze.

zapamiętać jego imię. Oboje z Natalią wynajmowali wtedy małą opuszczoną drewnianą szopę na skraju głównej drogi. Pewnego wieczoru ten brodaty, dobroduszny mężczyzna po prostu się przewrócił. Natalia Iwanowna długo trwała w żalobie. Lecz inaczej niż kobiety w aule. Była to niema żaloba, przeżywana intymnie. Mieszkańcy wioski gadali o tym, lecz nikt się nie mieszał – Natalia Iwanowna nie należała do Nochczy, była obcą, bezbożną socjalistką z północy, skąd więc miała wiedzieć, że wdowa musi głośno oplakiwać męża?

„Tak, tak, ludzie z miast są zepsuci przez komunistów, zeszli z właściwej drogi – szeptali starzy. – Ale teraz pojawiła się nadzieja, gdy rosyjski olbrzym przewrócił się jak chory słoń, gdy założono Demokratyczną Partię Wajnachów, gdy ogłoszono niepodległość! Może Allah na nowo pobłogosławi nasz kraj!”

Śmierć męża załamała Natalię Iwanownę. Wydawało się, że wszystko stało jej się obojętne, że tylko przy nim potrafiła znaleźć sens działania. Dzieci nie mieli, z nikim też nie byli mocno związani. Prowadzili życie nomadów, uzupełniali się i nie potrzebowali nikogo poza sobą i swymi uczniami. Natalia Iwanowna lubiła jeździć do Groznego, do Machaczkały, Tbilisi, Erywania – wydawała się przywiązana do Kaukazu jak niegdyś Prometeusz, o którym pewnego razu opowiedziała Nurze przy herbacie z miodem i cienkimi plastrami cytryny. Leningrad, w którym się urodziła i dorastała, a który znów przemianowano na Petersburg, przestał być dla niej ważny, nic jej tam nie ciągnęło. Jej domem stały się góry. Jasnoniebiską ładą niwą przemierzała z mężem Kaukaz, przejechała z nim Gruzijnską Drogę Wojenną*, posłuszna odważnej tęsknocie, podążająca tropem emocji, a może nadziei. Teraz nie

* Istniejący od starożytności dwustukilometrowy szlak biegnący w poprzek Wielkiego Kaukazu, od Tbilisi w Gruzji do Władykaukazu w Osetii Północnej, w drugiej połowie XIX wieku został przebudowany według projektu i pod nadzorem Polaka, Bolesława Statkowskiego, i nazwany Gruzijnską Drogą Wojenną.

było już w niej wystarczająco wielkiej tęsknoty, by znowu chciała ruszyć w drogę przez niekończące się przestrzenie. Nie widziała już przed sobą celu.

Dużo czasu minęło, nim Natalia Iwanowna, obca kobieta bez chusty na głowie, odważyła się wyjść z domu na zakurzone wiejskie drogi. Wyglądała jak ptak, który odłączył się od stada i błąka się bez celu. Nura obserwowała ją z okna z rozdartym sercem. Niewiele o niej wiedziała, bo ta obca kobieta zjawiała się tu z innego świata, lecz w jej sposobie chodzenia, w jej zagubieniu było coś, co przypominało Nurze ją samą. Myślała, że obie szukają korzeni, lecz nie tych, które idą w ziemię, mocne i twarde, ale tych, które tworzą się z myśli i uczuć.

Raz pobiegła za nią po kryjomu w tłumiącym odgłosy, głębokim, prowokująco białym śniegu, zafascynowana czymś, co z niej emanowało, i dla czego nie znajdowała odpowiedniego słowa. Dopiero później zrozumiała, że to samowystarczalność. Natalia Iwanowna sprawiała wrażenie, jakby niczego i nikogo nie potrzebowała, jakby pełna była czegoś, czego wprawdzie nie widać, ale co się czuje. Och, jakże Nura chciałaby wiedzieć, jaka była miłość Natalii Iwanowny, czy jej mąż należał do tych mężczyzn, którzy mają wszystko, czego potrzeba im do życia, dlatego uważają żonę nie za kogoś niezbędnego, lecz za kogoś, kto ich wzbogaca. Nura spędziła z Natalią Iwanowną długie miesiące, ale nie udało jej się tego odkryć ani zrozumieć, jak ta kobieta może żyć, nie mając żadnych potrzeb. Jak wszystko, co się robi, czym się jest, można opierać wyłącznie na dobrowolności. Jednak w pewnym momencie przestało to mieć znaczenie...

Natalia Iwanowna przebywała w wąwozie długo, dłużej niż gdziekolwiek wcześniej, bo było jeszcze coś, co sprawiało, że coraz bardziej się wycofywała i miała coraz mniej odwagi, by krążyć po Kaukazie – nacjonalizm, który łączył się ściśle z powstaniem Czeceńskiej Republiki Iczkerii. Od kiedy Inguszetia połączyła się z Federacją Rosyjską,

a Czeczenia tego odmówiła, atmosfera wokół niej zaczęła gęstnieć. Wszyscy nagle zaczęli dzielić świat na dwa obozy, na przyjaciół i wrogów, a wrogami byli ci, którzy pragnęli czegoś innego. Chciano być i działać tylko dla swoich i wśród swoich – wystarczająco długo znosiło się nieproszonych gości. Teraz, gdy Związek Radziecki rozpadł się w pył i gigantyczna, rozwichrzona Rosja po omacku błędziła w ciemności, chciano wykorzystać sprzyjający moment i pozbyć się wreszcie intruzów.

Natalia Iwanowna nigdy nie była związana z żadnym ruchem i to mogło stać się jej zgubą. Na południu lała się krew, w Gruzji wrzało, w Armenii i Azerbejdżanie rozgorzał konflikt, a teraz czuło się zapach metalu również na północy. Tymczasem Natalia w swojej szopie wyobrażała sobie, że przemierza starożytną Grecję albo we wspaniałej sukni i wysokiej jak wieża peruce płynie przez Wersal i Fontainebleau. Była panią światów, które stwarzała w wyobraźni.

Ponieważ wystrzegą się rozgłosu, lekcji rosyjskiego, który właśnie został usunięty z programów szkolnych, udzielała tylko czasami – niektórzy rodzice nadal chcieli, żeby ich dzieci znały ten język. Powróciła też do zajęć inspirujących dzieci do myślenia. Aż pewnego dnia jej droga i droga Nury przecięły się i Natalia Iwanowna, otrzymawszy od życia pocałunek, obudziła się z długiego snu.

Ich pierwsze spotkanie zaczęło się od cichych słów, pasujących do śniegu sięgającego kolan, i było jak wejście w świat czarów. Nura zakradła się kiedyś pod szopę i jak wałęsający się kot obchodziła ją wkoło z nadzieją, że Natalia Iwanowna wyczuje jej obecność. I rzeczywiście wyczuła.

